

Są takie miejsca, które znaczą więcej. Stare topole wygięte pod naporem wiatru, drabina, po której niegdyś wspinali się młodzi kochankowie, rozstaje dróg, ścieżki, polany.

Teraz wracam, wodzę palcem po niewidzialnej mapie wspomnień. Odwiedzam dobrze znany las. Nie ma już śladu zwalonego pnia, gdzie po raz pierwszy poczułem ciepło kobiety. Ścieżki jakby trochę pozarastane, kłują mnie kolce.

Brnę, próbuję odnaleźć, odtworzyć to co utracone, przez tyle lat zapomniane. Ale drogi już jakieś inne, dusznych samochodów coraz więcej, a w moim Fengornie królują drwale. Huczą piły, ogień trawi mniejsze gałęzie.

Idę na przystanek autobusowy. To właśnie tam posmakowałem pierwszej goryczy – gorzkiego piwa i papierosów. Zamiast drewnianej budy, która mimo wszystko miała dość przyjazny wygląd i jakikolwiek architektoniczny rys, zastałem plastikową formę, zadaszoną, śmieszoną, kiczową kopułą. Nie zmienił się tylko smród – królem niepodzielnie pozostał amoniak. Nie było tamtej ławki, serc wydzierganych scyzorykiem i napisu „Legia mistrz”. Oparcie na wpół złamane, śmietnik wywrócony. Wokoło walało się sporo śmieci. Nie tak wyobrażałem sobie powrót do mojej idylli.

Co mi jeszcze pozostało? Murowianka. Za kapliczką, trzeba było wejść w gęsty zagajnik i mocno się natrudzić, żeby dotrzeć do tajnego miejsca. Tam często w wakacyjne wieczory buchał wesoło słup ognia, słychać było podniesione i rozbawione głosy. Dotarcie do celu sprawiło mi wiele trudu, ale tak akurat było zawsze. Tam docierali tylko najlepsi. Koszulę miałem już poszarpaną przez krzewy, spodnie ubłocone a ręce pokaleczone. Mimo wszystko warto było. Po środku małej doliny nadal leżał świeży popiół. Obok prowizorycznej ławki, wygnięciona trawa i puste butelki po piwie. Próbowałem dotknąć przeszłości, wydobyć z grobu żarliwe dyskusje, piosenki, pijackie ekscesy i sprośne dowcipy.

Obok mnie siedział Marcin. Zaciągnął się głęboko papierosem. W drugiej ręce trzymał wątył kijek z kielbasą nad ogniem. Naprzeciwko mnie siedziała Ewka i swoim zawadiackim spojrzeniem lustrowała każdego z nas. Marek leżał na kocu już dobrze wstawiony i wpatrywał się tępo w gwiazdy. Adrian wyraźnie pobudzony alkoholem opowiadał jeden z tych głębszych dowcipów, które przywoływał cyklicznie, w zależności od tego czy był wstawiony – a że robił to dość często – zawsze relacjonował mniej więcej to samo z lekkimi modyfikacjami. Z grzeczności nikt mu tej opowieści nie przerywał.

Kolejka za kolejką, wszyscy robili się coraz weselsi, tylko Marek zbladł. Ogień powoli dogasał. Widząc, że nikomu to nie przeszkadza wzięłem siekierę i ruszyłem w głąb lasu po jakieś badyle. Zanim zacząłem rąbać suchą brzozę usiadłem na zwalonym drzewie i odpaliłem papierosa. Pociągnąłem mocny łyk piwa. Po chwili płyn wyostrzył moje zmysły, ale tylko na moment, by znowu przytłaczające otępienie wróciło. Kiedy miałem już zamiar wstać, ktoś chwycił mnie pod barki. Poczułem gorące, spragnione pocałunki i dłonie wędrujące chaotycznie po klatce piersiowej. Butelka gdzieś spadła. Obróciłem się gwałtownie. Teraz Ewa była między moimi kolanami, robiło się coraz goręcej. Cały świat w jednej chwili wydawał się nieistotny. Kiedy miałem zamiar zdjąć podkoszulek dziewczyny i działać dalej ku boskiemu spełnieniu usłyszałem głośnie:

- Kuuuurwa!

Ewa prędko odskoczyła, ja byłem kompletnie zdezorientowany, a do mózgu dopłynęła mi zabójcza ilość testosteronu.

O drzewo opierał się ledwo żywy Marek, który mamrotał coś spode łba.

- Poo... dpalicie zaraz las, pali się kurwa!

Dopiero teraz spojrzałem za siebie. Ściółka zaczęła się tlić, ogień stawał się coraz groźniejszy. Szybko ściągnąłem bluzę i starałem się ugasić pożar w zarodku. Na szczęście obeszło się bez wzywania straży pożarnej. Osmoliłem sobie tylko lekko głowę a moja pamiątkowa bluza – koncertówka, wyglądała jak zdeformowane wdzianko predatora.

- Zawsze Ci mówiłam, że kiedyś umrzesz od tych swoich papierochów – powiedziała niewinnym głosem Ewa.

Uśmiechnąłem się kwaśno i w duchu pomyślałem, że wolałbym spłonąć na stosie, wcześniej dokańczając to, co się tak nagle skończyło. Gdy wróciliśmy, ognisko dogasało. Upalony Marcin zaglądał w otchłań pustej butelki i co jakiś czas wybuchał paranoicznym śmiechem.

- A gdzie Adrian? – spytała Ewka.

Marcinowi trochę zajęło, zanim zrozumiał komunikat, ale w końcu do niego dotarło.

- Poszedł na grzyby – odparł spokojnie

Ewka skrzyżowała ręce.

- Nie mam zamiaru szukać tego idioty całą noc. Ostatnim razem zasnął w lesie, kretyn!

- Może po prostu do niego zadzwonię?

Za którymś razem odebrał

- Gdzie jesteś?

- W lesie

- Wracaj do nas!

- Nie mogę. Mam poharataną nogę, ledwo idę!

Wszystko było jasne. Niedaleko od naszej miejscówki znajdował się stary, zarośnięty sad. Nieostrożność mogła spowodować trwałe uszkodzenie ciała. Kilku z nas miało już takie pamiątki na swoich łydkach. O dziwo w Grubym, który do tej pory leżał na wpół żywy w pijackiej agonii, obudził się duch ratownika medycznego. Ruszył do ogrodzenia i po kilkunastu minutach zaspany przywłókł Adriana na plecach.

Ewa bez pytania ściągnęła ze mnie podkoszulek i rozdarła na pół. Mimo, że została mi tylko bluzo-skorupa, całkiem mi się ten kobiecy gest spodobał.

-Dajcie trochę wódki - powiedziała.

Adrian wykrzywił usta w żalonym grymasie ale dzielnie znosił „operację”. Ewa szybko zabandażowała naderwany mięsień, z którego zdążyło wycieć sporo krwi. Ten incydent trochę nas wybił z rytmu. Ja w myślach uprawiałem seks z Ewką, Gruby już prawie wytrzeźwiał a Marcin trochę już przysypiał. Tylko jedyna kobieta z tego całego towarzystwa zdawała się być rześka jak łania o poranku.

- Chodźmy na łysą górę. Nie chcę dzisiaj wracać do domu.

Nikt jakoś specjalnie nie protestował, ale entuzjazmu też raczej nie zaobserwowałem. Zapewne każdy chciał Ewkę przelecieć, stąd ta milcząca jednomyślność.

Zabraliśmy koce, siekierkę i tradycyjnie zagasiliśmy ogień własnym moczem.

Było już około czwartej w nocy, może trochę wcześniej. „Łysa góra” znajdowała się mniej więcej trzy minuty drogi od ogniska. Wystarczyło wdrapać się na szczyt wrzosowego pagórka, przeplatane miejscami gęstą pokrzywą i krzewami. Gruby pomagał Adrianowi, który kuśtykał i pojękiwał wychodząc na wzniesienie. Gdy w końcu wygramoliliśmy się na „łysola” zgodnie otworzyliśmy ostatnie piwa, a Marcin puścił w obieg złote rozdanie „Cameli”.

Ułożyliśmy się głowami do środka wełnianego koca, tworząc coś na kształt „słoneczka”. Przez dobre kilka minut nikt się nie odzywał. Słyszeć było tylko cichy trzask spalającego się tytoniu. Wpatrywaliśmy się w gwieździste niebo. Z minuty na minutę było coraz jaśniej i dało się to zauważyć bez większego wysiłku. Ciszę przerwał Marek.

- Ej, a co byście powiedzieli, jakby w nas jebnęła teraz taka kurewska kometa?
- A co mielibyśmy niby zrobić?! – parsknęła śmiechem Ewka.
- Inaczej, inaczej – Gruby się zarumienił – o czym byście pomyśleli zaraz przed śmiercią?
- Ja o seksie – wymknęło mi się.
- Ja też – przytaknął Gruby.
- I ja – potwierdził Marcin.
- A o czym innym mielibyśmy myśleć? Tak nas zaprogramowała natura. – ziewnął od niechcenia Adrian.
- Takie z was ogiery? – uśmiechnęła się zawadiacko Ewa.
- A gdybym się tak przed wami teraz rozebrała? Ile jesteście w stanie mi zapłacić?

[Przejdź do kolejnej części opowiadania.](#)

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wiktor Orzel, dodano 14.07.2012 15:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.